

# Emil Kipa

---

## Włodzimierza Wolskiego poemat "Halka"

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 42/3-4, 1028-1043

---

1951

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

## WŁODZIMIERZA WOLSKIEGO POEMAT „HALKA”

O tym, że *Halka*, dwuaktowa opera Włodzimierza Wolskiego, wydana po raz pierwszy w r. 1847, przerobiona następnie na czteroaktowe libretto (w r. 1857), była pierwotnie poematem, który młodzieńcze pióro autora rzuciło na papier w trzy czy cztery dni, wie sumienny badacz, szperacz i bibliograf, Gabriel Korbut<sup>1</sup>. Ale na tym koniec. Nikt nigdy się tym bliżej po nim nie zainteresował, podobnie jak i twórczością Wolskiego nikt się dokładniej nie zajął. Jeżeli mówiono o *Halce*, to raczej na marginesie twórczości muzycznej Moniuszki. Dzięki temu nie zapomniano autora *Halki* po dziś dzień.

Cień niepamięci przesłonił natomiast żywą i nieustępliwą dyskusję, jaka się toczyła przez lata całe — w epoce zmierzchu feudalnych stosunków na wsi między chłopem a szlachtą — dookoła libretta, przede wszystkim jego zakończenia. Wolski, zdecydowany radykał i chłopoman, artysta o głębokim wycuciu i zrozumieniu problemów społecznych, dawał wyraz swoim poglądom i przekonaniom w sposób bezkompromisowy. Postać Janusza i jego nieszczęsna rola w życiu Halki, to otwarte wyzwanie, a zarazem moralne piętno. Że tak to współcześnie rozumiano, dowodzą najwyraźniej pogłoski zanotowane jeszcze w r. 1860 przez Kazimierza Kaszewskiego. „...Słyszeliśmy, że p. Wolski obecnie zmienił zakończenie, każąc Januszowi skakać do rzeki za topiącą się Halką, i w ogóle przykłaśnięto tej szczęśliwej reformie. Otóż to właśnie fałsz — ciągnie dalej Kaszewski — może to efektowniej na deskach teatralnych, ale w graniu to grzmot grudniowy: nie spodziewajmy się tyle serca pod liszajem rozmyślnego bezprawia, bo Janusz nie jest to kochanek przypadkowo niewierny: to owszem jeden z tych, dla których hańba istoty takiej jak Halka jest rozrywką uprawnioną zwyczajem, a rezultaty jej rzeczą obojętną...”<sup>2</sup>

Poemat stawia sprawę na zupełnie innej płaszczyźnie. Janusz, reprezentant młodej generacji, nie żywi żadnych przesądów stanowych. Żeni się potajemnie z Halką, ale małżeństwo to znalazło zdecydowanego wroga w matce Janusza, przedstawicielce starego, o feudalnym zakroju, pokolenia. Matka staje się sprawczynią śmierci Halki i jej dziecka. Janusz, który po dłuższej nieobecności wraca do domu, dowiedziawszy się prawdy o śmierci żony, zabija matkę i popełnia samobójstwo. *Spiritus movens* tego rozwiązania, duchem zemsty, jest zjawą matki Halki, która jest zarazem wyrazicielką aspektu społecznego rozegranego dramatu.

<sup>1</sup> *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej*, t. IX, s. 282.

<sup>2</sup> Biblioteka Warszawska, 1860, t. II, s. 183. Jest to recenzja zbiorowego wydania *Poezji Wolskiego* (Wilno 1859).

Wolski zamierzał swój poemat drukować, ale cenzura obeszła się z przysłanym rękopisem bezlitośnie. Wykreślono zeń całe partie, po czym dopiero opatrzone okaleczony tekst stereotypową formułą: „Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy. W Warszawie d. 23 listopada (5 grudnia) 1845. Cenzor Niezabitowski”.

Rzecz jasna, że po takiej operacji poemat do druku się nie nadawał. Autograf znalazł się w zbiorach Hipolita Skimborowicza, który zaznaczył na nim ołówkiem: „Nigdy nie druk., potem autor przerobił na operę dla Moniuszki”.

Z dat umieszczonych na rezolucji cenzora Niezabitowskiego możemy wnosić, że utwór swój oddał Wolski najpóźniej w pierwszej połowie r. 1845. Nie przesądza to oczywiście daty jego powstania. Czy nie należy on do „przełomowego” roku 1843? Trudno na to odpowiedzieć dzisiaj, wobec braku materiału w tym względzie. Te i inne sprawy, a przede wszystkim krytyczne rozpatrzenie poematu jako utworu literackiego, należą już do badacza literatury. Przedmowa Wolskiego do zbiorowego wydania jego poezji z r. 1859 dostarcza w tym względzie wiele cennych wskazówek. Rzecz ciekawa jednakowoż, że autor o istnieniu poematu *Halka* zupełnie nie wspomina.

Parę słów objaśnienia wymaga na koniec zachowany autograf. Po H. Skimborowiczu dostał się on z Wilanowa do zbiorów Potockich w Krzeszowicach, a obecnie znajduje się w oddziale wilanowskim Archiwum Głównego w Warszawie (teka XXIV 2/26). Obejmuje 8 kart *folio*. Na pierwszej karcie u góry, w prawym rogu nadpis „Do Wieśniaka”. Nadpis zastanawiający. Czyżby oznaczał, że *Halka* miała należeć do jakiegoś projektowanego tomu zbiorowego pt. *Wieśniak*? Kreślenia cenzury w trzech miejscach tak grunto-owne, że bez specjalnego zabiegu chemicznego zarzyć nie można o odcy- taniu miejsc zamazanych. Inne partie po prostu przekreślone, bez szkody dla czytelności rękopisu.

*Emil Kipa*

## HALKA

POEMAT PRZEZ WŁODZIMIERZA WOLSKIEGO

WSTĘP

ELEGIA<sup>1</sup>

..... Nad stawem

Wierzb niekształtne postacie ponuro dumają —  
 W głębi bór, nad nim księżyc ze spojrzeniem łzawem.  
 Tutaj szarzeją chaty, światełka błyskają,  
 Nad niemi fałdy dymu ciągną się leniwo  
 W objęciach mgły wieczornej; a wyżej nad niemi  
 Niebo - więzień, okute w szarych chmur ogniwo,  
 Poranionem obliczem spogląda ku ziemi.

<sup>1</sup> Skreślono w cenzurze.

Cisza! lecz nie ta cisza spokoju, wylania;  
 Jakies dreszcze rozdźwięków w duszy twojej strzegą;  
 Coś ci nie da ich wygrać, wyśpiewać zabrania —  
 Tęsknisz i pragniesz czegoś, lecz sam nie wiesz czego?  
 Jakaś czczość, jakiś przesyć, przecucia ciężarem  
 Przygniatają ci serce — lzy by ci ulżyły...  
 Czujesz, że wkrótce życie zabłyśnie pożarem,  
 Ty może będziesz zimny w objęciach mogiły.

Przecież wszystko tak piękne i wszystko tak zgodne  
 Z harmonią uczuć twoich, co jak mech z dębina  
 Zrosły się z tym zakątkiem. Te piaski nieplodne,  
 To świadki twej tęsknoty, a te lekkie wzgórza,  
 Co w dali błękitnieją i w błękiecie giną —  
 To bracia twych urojeń. Tutaj, nad równiną,  
 Gdzie las ciemne zarysy w jej wstęgę zanurza,  
 Rozmawiałeś z duchami, gdy z ciemnych warkoczy  
 Północ zasłone cudów nad ziemią roztoczy.

Tu życie nie zamiera jak wśród ciemnie miasta,  
 Ale w swojej prostocie patrzy pełno, dumnie —  
 Tu jak ziele rozpięte po starej kolumnie  
 Echo wspomnień dziecinnych w piosence odrasta,  
 Którą matka usypia dziecinę u łona,  
 Albo nią zagrzmia piersi wesołego grona,  
 Kiedy w karczmie pijane zda się szczęściem śpiewa,  
 Zapomina o nędzy, a łzami się zlewa.

#### URYWEK I

Dzwonek jak sowa piszczy dźwiękami,  
 Przestrachem stara wtórzy mu dzwonnica,  
 W kościółku huczają jak puszczyk organy —  
 Dziewczęta nucąc unoszą ze łzami  
 Trumnę bez wieka — w niej trup przyodziały  
 Podartą płachtą; nie dojrzysz mu lica:  
 Martwe, niekształtne, jak posąg rozbity.  
 A ciało młode — i sinoblada  
 Barwa, jak śniegi pod wiosennem niebem,  
 Kiedy topnieją przed swoim pogrzebem;  
 A włosy mokre jak wywiędła trawa  
 Skropiona deszczem; był to trup kobiety!

Siwy ksiądz wyszedł z wodą święconą,  
Przeczytał psalmy, pokropił łono  
Trupa i ziemi — trumnę wrzucono,  
Ksiądz odszedł — piaskiem dół przysypano,  
Okryto darniem i łzami oblano.

Dzwonek zaniemiał, organy zniemiały,  
I tylko jodły, prowadząc rozmowę,  
Smutno w tę stronę gałęzie schylały,  
Gdzie wiatr donosił pieśni pogrzebowe.  
A w dali Nidy zapłonione oczy,  
Złośliwe, chytry na cmentarz patrzyły,  
Jak czart, gdy człeka o północy zoczy.

Pierzchnęły chmury, księżyc złotokrwawy  
Pijane oko na mogiłę zwrócił,  
Krwia zarumienił smętarne trawy,  
A wszystko krepą rozpaczy zasmucił.  
Lecz cóż to za głos chropawy, płaczliwy,  
Cóż to za postać nad mogiłą zgięta,  
W dzikich uplotach rozwiany włos siwy,  
Wzrok obłąkany, piekielny, straszliwy —  
Wilczycy, gdy jej zabijają wilczęta.  
Całuje ziemię, piersiami rozgrzewa,  
Jęczy, przeklina, czy śpiewa?

„Byłaś mi jedna,  
O, córuś biedna!  
Jak topól gładka,  
Świeższa od kwiatka.  
Oko gwiazdeczka,  
Koral usteczka,  
Lice śnieżyste,  
Jasne, przeczyste.

Tuląc jak wiatr wody rąbki  
Pieściłam-é jak ząbek;  
Tak nie pieści swej gołąbki  
Gruchając gołąbek.  
Byłaś mi jak rybka w wodzie,  
Jak wierzba nad Nidą,  
Któż by żyjąc wciąż w pogodzie  
Myślał: burze przyjdą —

Niwę zbożem połączoną  
 Pokryją żałobą,  
 I gołąbkę ukochaną  
 Zabiorą ze sobą.  
 Gdzieżeś, gdzieżeś, moja jedna,  
 Gdzieżeś, gdzieżeś, Halko biedna?  
 Oj! paniczu — czyś na świecie  
 Gdzie tam zginął w walce,  
 Bo nie zapomniałbyś przecie  
 O dziecku, o Halce!  
 Ona wciąż cię wyglądała  
 I pieszcząc włos złoty  
 Dzieciąteczka wciąż wołała:  
 My biedne sieroty!

Ale pani... oj diablance,  
 Wy matki morderce,  
 U was białe, jasne lice,  
 Ale czarne serce,  
 U was żywa, łatwa mowa  
 I słodycz spojrzenia,  
 Serce martwe jak grobowa  
 Figura z kamienia.  
 Będzie bies was za to prażyć,  
 Będą szarpać jędze,  
 Będzie zgaga ciągle żarzyć  
 Za ucisk i nędzę.  
 Ja cię sama szarpać muszę:  
 Będę cię ścigała,  
 Aż zagniotę, aż zaduszę  
 Pisk duszy i ciała”.  
 Lecz nagle jak wody dalekie szemranie  
 Jak listków topoli cichutka rozmowa,  
 Zabrzmiały spod ziemi kryształowe słowa:  
 ”O, piękny aniolku,  
 O, moje kochanie,  
 I ty ze mną w dołku  
 Na wieki!  
 Wszak miękciej nam było  
 Na Nidy kryształowe,

Gdy piosenką miło  
Srebrzyste fale  
Zwarły nam cicho powieki...  
Lecz jam szczęśliwa tą cichą chatką,  
Nie będą ludzie szydzić  
I mną, i tobą się brzydzić,  
Szczęśliwa-m na wieki, matko!  
Na imię syna trup cię zaklina,  
Nad matką nie mścij się, matko!”  
„Darmo, mścić się muszę...  
Nie będę słuchała,  
Aż zgniotę, przyduszę  
Pisk duszy i ciała!”  
Wtedy wiatr szumnym dał rozhoworem,  
A głos podziemny jeszcze cicho śpiewał  
I jeszcze ciszej omdlewał, omdlewał,  
Omdlał jak echo fujary za borem.  
A wścieklej postaci szalenie i dziko  
Oczy z krzyżami igrały,  
A płachty chwiejąc się z wiatrów muzyką  
Jak sama postać — szalały.  
„Boże!” — jęknęła — „matka cię woła,  
Słyszysz mię, matkę, o Boże!  
Czyli mi dłoń twa nie dopomoże,  
Nie zeslesz zemsty anioła?  
Ja, matka, Panie, ja, matka stara,  
Boże! tu śmierci łożę,  
Tu zemsty czeka biedna ofiara.  
Nie zemścisz, nie zemścisz się, Boże?  
Usłysz mię, usłysz, wołam do ciebie!  
Czy ty wiesz, Panie, co znaczy  
Odgłos boleści, piekło rozpaczy —  
Czy u was jest litość w niebie?”  
Lecz cicho było i nad mogiłą,  
Gdzie krzyże samotnie sterczą,  
Księżyc pijanem okiem  
Rozśmiał się szyderczo  
I zakrył obłokiem.  
„Ha! nie słuchacie, jeszcze szydzicie!  
Więc na co to podłe życie?”

Na co to serce, aby tym bardziej  
Gardziło niebem, które niem gardzi?

Ha czarny! czarny! pomóż mi ty,  
Zjaw się w postaci jakiej,  
Gdy serce krwawe, dopomóż mu,  
Po raz pierwszy, drugi, trzeci — tu!!”

I wichur wyje, i ogień łśni,  
Ciężko szybują spłoszone ptaki,  
Łamią się drzewa z liści szelestem  
Jak świst stu wiatrów, jakiś głos grzmi:  
„Czego chcesz? jestem, jestem!”  
A za nim jakiś chór pogrzebowy,  
Jakby pućki — wrony — sowy —  
Jeszcze raz zahuczał:

„Jestem!”

## URYWEK II

.....  
Wędrowiec postępował szybkimi krokami,  
Ale go każde drzewo, każdy pień zatrzyma,  
Każda łąka go wita wspomnienia oczyma,  
Coraz dalej i bliższe, i miłsze pamiątki;  
Znany las na tle niebios w ciemnym toczy kole,  
Spoza niego coś bieli, migają topole,  
Na wzgórzu jakby duchy, szarych zwalisk szczątki.  
W lewo krzyż na kościółku złotą błyszczy gwiazdą,  
Dalej ciągną się chaty, po nich płynie mgława  
Zastona, spoza której niekiedy wystawa  
To raz buk rozłożysty, to bocianie gniazdo.

Ale im bliżej drżącym postępował krokiem,  
Wraz błękit jego wspomnień przykrył się obłokiem,  
Tym obłokiem, co niebo śród pogody chmurzy,  
Jak szyderca niegodny, albo zwiastun burzy,  
Wiatr tak smutno zaśpiewał, Nida zapluskiała  
Tak dziwacznie, szczególnie, jak gdyby się śmiała.  
Przy drzewach jak całuny gałęzie się wiją,  
Pućka jęcząc, zapewne zwiastuje śmierć czyją.

<sup>2</sup> 9 wierszy nieczytelnych, zamazanych przez cenzurę.



Roześmiał się wędrowiec, ale śmiech niewiary  
 Rozjaśnił tylko lica, a serca pieczary  
 Puste, ciemne przecuciem, jeszcze bardziej ciemną  
 Jakby osnute nocą przesądu tajemną.

Już zakątek rodzinny wita go radośnie,  
 Buki tęskniąc w źrenicę Nidy spoglądają,  
 A wiejskiego smentarza mogiły witają  
 I radośnie, szyderczo i dziko żałośnie.  
 Na jednej z nich świerszcz polny smutną nucił śpiewkę,  
 To znikając śród darni, to sunąc po ziemi;  
 Po niej cicho, samotnie buja boże drzewko,  
 Nieśmiertelniki patrzą oczyma suchemi,  
 Wraz coś się tak smutnego w pierś wędrowca wpiło,  
 Że się wstrząsała, tak mocno serce zatętniło.  
 Wstyd oblał męskie czoło, sprzecznych uczuć walka  
 Raz gwałtowna, znów niema, rozgłośna i pusta  
 Mimo woli roztwarła na wpół drzące usta,  
 Że głucho wyjęknęły: „Halka, biedna Halka!  
 Pewno mię czeka, tęskni z dziecięciami u ręki,  
 Pieści je, płacze i nuci piosenki”.  
 Jak kiedy woda kroplami się sączy,  
 Jakby głos Halki coś szepnęło z cicha:  
 „Halka cię czeka, Halka się uśmiecha,  
 Halka się z tobą na wieki połączy”.  
 Głos mdał w bladym tumanie płowego wieczoru,  
 Wędrowiec drząc przecuciem szedł zwolna do dworu.

ZEMSTA<sup>3</sup>

„Matko, gdzie żona, gdzie dziecię moje?  
 Jużem was wszystkich przyjmował w objęcia,  
 Pozwólcie teraz, niechaj się upoję  
 Słodkim uściskiem żony i dziecięcia”.  
 Gdzie Halka — przecucie jak piana szalona<sup>4</sup>  
 Obsiadło mu czoło i zwolna, pomału  
 Cały jad cierpień skupiało do łona  
 Z gorączką męki, z konwulsją szau.  
 Senne, mu lica rumieniec rozpała,

<sup>3</sup> Całość, aż do *Urywka III*, skreślona przez cenzurę.

<sup>4</sup> *Aquatophana*. (Przypis autora).

Straszny, okropny — jako słońce krwawe,  
 Kiedy szyderczo patrzy na zabawę,  
 W której z piorunem tańczy wściekła fala.

Lecz nagle okno roztwiera się z cicha  
 I widać głowę okrytą lachmanem,  
 Błyszczącą okiem obłądnym, pijanem,  
 Ale w tem oku piekło się uśmiecha.  
 A za nią jakieś tajemnicze twarze,  
 Spiekłe jak ludzie spaleni w pożarze;  
 Jak głos puszczyka lub cichy świst sowy —  
 I okno nagle całe się odchyła —  
 I cała postać nagle się wychyla —  
 Stojąc nad łóżem wpólnaga, wpółzgięta,  
 W dzikich uplotach chwieje się włos siwy,  
 Wzrok obłąkany — piekielny — straszliwy —  
 Wilczycy, gdy jej zabijają wilczęta.

Piersi spiącego wyschłą dłonią trąca,  
 A twarz spiącego płonąca, paląca;  
 Z cichem przekleństwem czoła się dotyka,  
 Na czole huczy jakaś burza dzika,  
 Oczy otwarte, martwe, wyprężone...  
 „Słuchaj!” — zapiszczał głos szyderczo-lzawy —  
 „Chciałeś uściskać i dziecię, i żonę?  
 Widziałeś mogiłę zieloną i świeżą?  
 To uchyl cicho zielonej murawy,  
 Rozkop z niej piasek, rozrzuc mogiłę,  
 A potem cicho przyciśnij do łona  
 Dwa trupy, które obok siebie leżą —  
 Dwa trupy młode, a już na wpół zgniłe —  
 To twoje dziecię i żona!”

Jęła szalejąc w dalszej, wścieklej mowie:  
 „Chłop nie ma serca, wszak prawda, panowie!  
 Chłop bydle nędzne; jedna podła suka  
 Śmiała dać życie córce mego syna  
 I z nim tajemnie połączyć się śmiała...  
 Ale mnie ślepa miłość nie oszuka;  
 Po mojej śmierci panią by została...  
 Ha! chłopka podła, piasku okruszyna...  
 Wysączę życia podłego ostatki;  
 Przeklinam syna, co ojców bezcześci...”

Tu wściekła postać na chwilę przestała,  
 A potem wrzasła: „To był głos niewieści,  
 To był głos ludzki, to był głos twej matki!”  
 Podniósł się spiący i zatrzęsł się we śnie,  
 Ale znów postać piekielna boleśnie,  
 Wściekle zawyła:

„Kazała związać twoją własną żonę,  
 Jej ciało młode, piękne, wypieszczone,  
 Kazała siec różgami — sama się pastwiła!  
 Potem ją po wsi nago prowadzono,  
 Lecz się chłop żaden nie zaśmiał z jej nędzy —  
 Tylko twa matka, stojąca pod gankiem,  
 Szydziła jeszcze z dala głosem jędzy:  
 »Tyś śmiała zostać syna mego żoną?!  
 Leć teraz za twym mężem czy kochankiem!«”

Spiącemu włosy jeżą się i wstają,  
 Usta otwarte drżą,  
 Lica to bledną, to nagle pałają,  
 A jęki wpółgłosne mówić się zdają:  
 „Krwia, krwia, krwia!”  
 A za oknem słyhać echo,  
 Co wśród śmiechu i z uciechą  
 Stu sów jękiem piszczy: „Krwia!”  
 Znów dalej postać jakby gromem spadła,  
 I nieszczęsna leciała jakby za zakłębem,  
 Gdzie Nidy jasne wybiły zwierciadła  
 Łzawem spojrzeniem utonawszy w niebie,  
 Ściskając dziecię, błogosławiąc ciebie... •  
 Jeszcze łza jedna, a potem z dziecięciem  
 W błękitnej toni przepadła.  
 A teraz w ziemi spokojnie spoczywa,  
 Nad nią zielona murawa się wiję,  
 Lecz wielka pani — zbrodnia jeszcze żywa,  
 Ale i chłopka — zemsta jeszcze żyje!  
 A za oknem echo wyje:  
 „Chłopka żyje, zemsta żyje!”  
 Porwał się spiący zgrzytając zębami,  
 Przekłęte echo zębami zgrzytało —  
 Rozśmiał się dziko — a piekła śmiechami —

Echo za oknem szalało.

„Hej, paniczu, prędeż, prędeż,  
Pólnoc płacze, pólnoc bije,  
Jeszcze dyszy gardło jędzy,  
Jeszcze żyje, jeszcze żyje!  
Prędeż lotem błyskawicy —  
Pólnoc bije, pólnoc płacze —  
Już czekają biesiadnicy:  
Kruk i wrona kracze, kracze!”

I chwila ciszy z ognistem milczeniem,  
Jak młody suchotnik — z śmiertelnem spojrzaniem...

Nagle wrzasnął śmiech szalony,  
Jakby pućki, kruki, wrony:

„Co to stoisz? nie chcesz iść?  
Wolno wiatrom strząsnąć liść —  
Wolno pani zabić dziewczkę,  
Wszak powszednią zbrodnia ta —  
Dalej przebaczenia śpiewkę  
Huczmy: Przebacz! cha! cha! cha!”

Echo wrzało — echo drżało:

„Przebacz, przebacz! cha! cha! cha!”

„Ja mam przebaczyć?” — zabrzmiał głos rozpaczy,  
Głos gromu, kiedy po dąbrowie grzmi. —  
„Ja mam przebaczyć! Choć Bóg przebaczy,  
Ja nie przebaczę! Za krew trzeba krwi!”

A za oknem huczy echo

Pośród śmiechów i z uciechą:

„Nie przebaczaj! Za krew krwi!”

I powstał nagle, a senne męczeństwo  
Żyje zamiarem, w czyn się wypowiada,  
Na jego czole paliło przekleństwo,  
A z jego oka strzelała zagłada.

Spojrzał na niebo z przecuciem nicości,

Uchwycił strzelbę — głuchy brzęk wydała —

Wypadł jak piorun, za nim stara gnała —

A dalej głosy w piekielnej radości:

„Zabij, zabij, duszę zgub!

Smaczny trup — pański trup!”

Nagle burza wystrzału i cisza smętarna,  
Wichry biady z przestachem przez szczeliny biły,

Morowa postać zgrozy — olbrzymia i czarna —  
 Przesunęła jak wyziew z otwartej mogiły  
 I wszystko powalała jej skrwawiona szata —  
 Jak piekielny policzek z brudnej ręki kata.

Znów drugi grzmot wystrzału, znowu chór szalony:  
 „Patrzcie pućki, kruki, wrony,  
 Z ciepłym sercem baba gna —  
 I zabójca pokrwawiony —  
 Dwa, dwa trupy — cha, cha, cha!  
 Lećmy! prędeż! Niebo zbladło,  
 A tu jadlo, smaczne jadlo!  
 Prędeż! nikną nocne mgły —  
 Dwa, dwa trupy — chi, chi, chi!”

## URYWEK III

## OFIARA

Szarzeją nocy straszdyła,  
 Jakaś postać leci, leci,  
 Szare płachty jakby skrzydła  
 Zieją — z włosów siwych splotem —  
 W rękę coś krwawego trzyma —  
 I wesoło leci — leci —  
 Za nią wiatr huczy z łoskotem  
 I Nidy fala się wzdyma,  
 Księżyc świeci.

Ona bacznie śpiewa sobie:  
 „Dmij, wietrze, dmij!  
 Drwij, czarny, drwij!  
 Sama piersi jej rozdarłam,  
 Sama serce jej wydarłam,  
 Sama je złożę na grobie!  
 Czy mię słyszysz ty?  
 Łezko mojej łzy?  
 Ja przyniosłam ci ofiarę,  
 Serce krwawe, serce stare,  
 Ja przyniosłam ci!  
 Przyjm ofiarę mą,  
 Jeszcze dymi krwią,  
 Jeszcze świeże, jeszcze świeże,  
 O! przed chwilą ono drżało

I bezczelnie tak kłamało  
 Modły i pacierze.  
 Czy mnie słyszysz ty —  
 Łezko mojej łzy?"

I było słycać głosik spod mogiły,  
 Jak gdyby z bożem drzewkiem kwiateczki gwarzyły:  
 „Czemu przerywasz ustroń niebieską,  
 Błogi spokój, ciszę mą?  
 Jeszcze gdyby ziela łezką  
 Skropić domek mój zielony,  
 Ale kalasz, kalasz krwią  
 Białej sukni mej obłony  
 Kwiatek cieniu mej korony —  
 Czemuż mię budzisz z uśpienia,  
 Gdzie senne i zimne skronie  
 Jak niepamięci całun ocienia,  
 I wkrótce całą owionie.  
 Czasem kropla deszczu na piołunie błysnie,  
 Czasem łza rosy zawiśnie —  
 I płacze —  
 Ta łza do mojej chatki się przycisnie,  
 Jakby do serca westchnienie tułacze,  
 I dawnem szczęściem upoi,  
 I zapomnieniem ukoi.  
 Tutaj się pieszcząc z dzieciną  
 Miło, swobodnie pod chatką —  
 A w twoim jęku,  
 Po twojem ręku  
 Zdroje krwi płyną —  
 Oddal się, matko!"

„Jak to? Oddalić ze łzami krwawemi,  
 Mamże ja pełzać jako gad po ziemi,  
 Przeklinać ciebie i czekać zaciekle,  
 Póki mię szatan nie utopi w piekle?  
 Przeklinam grób twój i samotne wzgórze,  
 Na którym bujno kwiat zemsty się płodni.  
 Albo jak szatan przy smętarnym murze,  
 Pragnąć mogiły wciąż — daleko od niej.  
 Na tomż ciebie porodziła,  
 Memi łzami wykarmiła,

Potem z zemstą pochowała  
I mogiłę krwią oblała?  
Krwawa kania krwią się żywi,  
By nią żywić swoje dzieci;  
Te szczebioczą jeszcze tkliwiej,  
Gdy do gniazda z łupem leci.  
Ja ci duszę własną dałam,  
Jęczę, nieba rozechwiałam,  
W odmęt piekła się rzuciłam,  
Ale twoją śmierć obmyłam.  
Teraz niech gwiazdy spadną,  
Burze huczą, nieba grzmia,  
Niech słońca nagle zagaśnią!  
Nie zleknię się groźbą żadną;  
Obmyłam cię duszą własną,  
Obmyłam cię krwią — krwią!”  
A wtedy było słyhać spod mogiły,  
Jakby się głuche jęki ze łzami spoliły,  
Roztworzyła się zielona chatka,  
Wypłynął cień anioła, jakby cień od kwiatka,  
Tak lekki, tak powiewny — jak Prądnika wstęga,  
Gdy po niej kropla deszczu srebrnem toczy kołem  
Lub kiedy szara skała, co ku niebom sięga,  
W zachodnich ich objęciach mszystem błysnie czołem,  
I przytulał drugiego anioła do siebie,  
I spoglądał tak święto jak gwiazda na niebie,  
A srebrzystych swych ramion czarodziejskiem zgięciem —  
Kiedy oddech niebieski podnosił mu łono,  
Pierś ziemską, krwią piekielnej zemsty napełniono —  
Do swej piersi anielskim obwiązał objęciem  
I głos niewinny jakby szmer strumienia  
Wolał pieszcząco: — „matko, przebaczenia!”  
Szarzeją nocy straszdyła  
Głucha cisza płynie, płynie,  
A jej czarne, ciężkie skrzydła  
Wszystko czczością otaczają,  
Fale żałości pluskają  
U cmentarnego podmurza,  
Coś niby to gwiazda błyska,  
Coś niby cicha rozmowa,

Ale cisza głucho płynie  
 Na niebie plama pąsowa  
 Niby to pożaru burza  
 Lub męka pogorzeliśka.  
 Lecz znów wszystko czezość ocienia,  
 Nida, niebo czezością błyska,  
 Gwiazda z gwiazdą zalśni, zginie,  
 Wszędzie głucho, brzęk zniszczenia,  
 Cisza głucho, głucho płynie.

## KONIEC

ELEGIA<sup>5</sup>

O! bo też dziwnie piękna ta ziemia garbata  
 I dziwne cuda na niej, a zamarłe lata  
 Na każdym złomie gruzów, każdej garści ziemi  
 Przeszłość swoją głoskami pamiątek tłumaczy.  
 A kiedy wzrokiem serca zapoznasz się z niemi,  
 Kiedy ciebie opaszą węzły tajemnemi,  
 Tak przylgniesz do nich duszą, że prócz ich ponęty  
 Twoje oczy ponęty innej nie zobaczą —  
 O, bo piękne pamiątki na tej ziemi świętej!

Lecz skąd ten krwawy odcień, co ich szatę plami,  
 Jak w rozkoszonym ogrodzie samotna mogiła?  
 Czemu go nie ubywa? czemu jak ze źródła  
 Co chwila się świeżemi przelewa kroplami?  
 A jak ktoś raz skosztował cierpkiego napoju,  
 Czemu i jego dusza krwawo się splamiła?  
 A więc precz, precz, wy krwawe obrazy ode mnie!  
 Trudno! Napój, choć cierpki, smakuje przyjemnie,  
 I plama, choć bolesna, miła jednak, miła...

. . . . .<sup>6</sup>  
 Cicho księżyc się łamie po dachach i murach,  
 A myśl moja jak niebo ciemnoniebieska,  
 Gdzieś tam swobodnie buja po skałach i górach,  
 Poduma u Prądnika, u gruzów Ojcowca.

<sup>5</sup> Skreślono.

<sup>6</sup> 8 wierszy nieczytelnych, zamazanych przez cenzurę.



Koło Sokolej Skały wstrzyma się na chwilę  
I wreszcie głucho spocznie na wzniosłej mogile,  
Co omglona, jak gdyby owiniona w chmury,  
Na całą piękną ziemię rzuca cień ponury.

. . . . .<sup>7</sup>

---

<sup>7</sup> 10 wierszy, stanowiących koniec *Elegii*, zamazano w cenzurze, nie do odczytania.